ROK DRUGI.

№ 45.

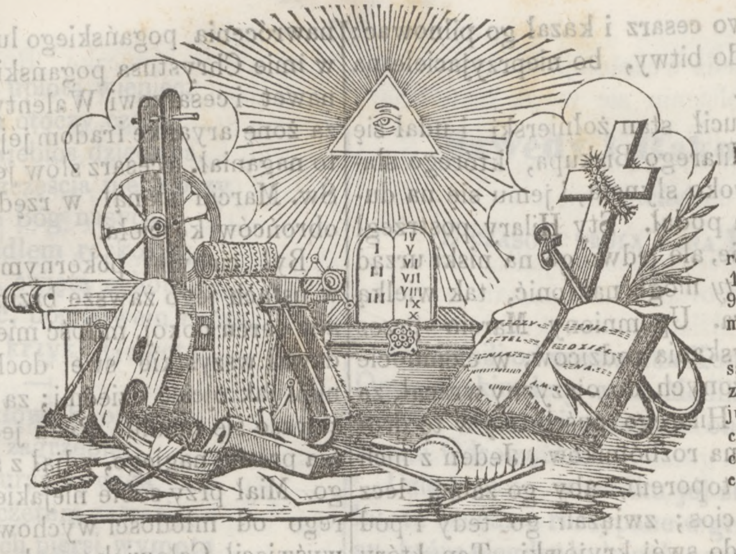
Warszawa.

Dnia 27 październ.
(8 listopada).

1857.

Niedziela

22 po ŚWIĄTKACH.



REDAKCYA CZYTELNI

przy ulicy Chmielnej Nr. 1527.

PRENUMERATA

rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Wielu szukają kto jest większym w Królestwie Boskiem, a nie wiedzą, czy między najmniejszemi pomieszczeni będą. Wielkością jest, być w niebie nawet najmniejszym, gdzie wszyscy są wielkimi, bo wszyscy nazwani będą i staną się synami Bożymi. (O naśl. Chr. K. 3. R. 58.)

Życie świętego Marcina

Biskupa Turońskiego, wedle księdza Skargi opowiedziane.

Śty Marcin żył w IV wieku po Narodzeniu Chrystusa.

—

Urodził się Śty Marcin w mieście Sabaczu, dawnéj Pannonii (1), zamieszkałem przez Słowian. Rodzice jego znakomitego rodu, byli poganami. Gdy miał lat piętnaście wyszły Cesarskie listy, aby synów żołnierskich do wojska spisywano i brano, musiał tedy i ojciec Ś. Marcina wydać, jako będący dowódzcą w wojsku Rzymskiém. Trzy lata na wojnie przed chrztem strawił; zostając wolny od tych grzechów, którym oddawali się inni jego współtowarzysze.

Jeszcze nie będąc odrodzonym przez chrzest, dobremi uczynkami duszę swą przyozdabiać się starał, innym pomagał, ubogich karmił, nagich odziewał. Czasu jednego, w pół zimy mroźnéj przez bramę w mieście Ambii ujrzał prawie nagiego, który u przechodzących zmiłowania prosił, i gdy żaden mu nic nie dał, Śty Marcin nic nie mając prócz zbroi i prostego żołnierskiego ubioru, dobywszy miecza, rozciął swój płaszcz na pół, jednę połowę ubogiemu dał, a drugą siebie okrył.

Mając lat dwadzieścia, i będąc już chrześcianinem, gdy się w Galii (2) wojna wszczęła i Cesarz Julian przed mającą się stoczyć na drugi dzień bitwą, rozdawał żołnierzom upominki, kiedy przyszła kolej na Marcina, on daru przyjąć nie chciał, aby się na dalszą służbę nie obowiązał, i rzekł: Cesarzu, do tego czasu byłem żołnierzem twoim, ale dawne mam postanowienie, i teraz chcę już zostać żołnierzem Chrystusowym; przetoż upominek ten innemu daj, bo mnie już żołdu brać się nie godzi. A Cesarz odrzekł: Z bojaźni to czynisz, nie z nabożeństwa, bo jutro bitwa.

Lecz Marcin odpowiedział: Jeżeli mi bojaźń przypisujesz, nie zaś wierność Bogu, oto ja jutro stanę do bitwy bez zbroi, a w imię Pana Jezusa, krzyżem Stym opatrzony, przez szyki nieprzyciół będę się przebijał.

(1) Dzisiejsze Węgry.

(2) Dzisiejsza Francya.

Przyjął to słowo cesarz i kazał go pilnować; ale nie przyszło do bitwy, bo nieprzyjaciele na słowo się poddali.

Wkrótce porzucił stan żołnierski i udał się Marcin do Sgo Hilarego Biskupa, którego sława naówczas szeroko słynęła, i jemu się na duchowne ćwiczenia podał. Sty Hilary postrzegł w nim cnoty wielkie, ale ledwo go na niski urząd kościelny *exorcysty* mógł nakłonić, tak wielką była jego pokora. Upomniony Marcin przez sen, aby dla pozyskania rodziców, w ciemnocie pogańskiéj pogrążonych, do ojczyzny wracał, za dozwoleniem Sgo Hilarego puścił się w tę drogę. Idąc, trafił na rozbójników. Jeden z nich zamierzył się nań toporem, aby go zabić, lecz drugi wstrzymał cios; związali go tedy i pod strażą prowadzili do swéj kryjówki. Ten, który go strzegł, pytał go, kto jest? Marcin wyznał, że jest chrześcianinem, i wdawszy się z nim w rozmowę, tak go ujął słowami Ewangelii, że łotr upamiętał się i wyprowadziwszy go z pomiędzy zbójców, puścił wolnego, a sam pokutując chrześcianinem został, i późniéj o tém zdarzeniu ludziom opowiadał.

Za powrotem do ojczystéj ziemi, Sty Marcin nawrócił na wiarę Chrystusa Matkę swoję, ale ojciec pozostał w pogaństwie. W czasie tym szerzyła się nauka Aryańska w Iliryku, gdzie S. Paweł wiarę Chrystusa zaszczepił. Od tych to ludzi Marcin wiele cierpiał, a nawet publicznie ubiczowanym został. Wrócił więc do Galii, do miasta Piktawu, ale tu już nie zastał S. Hilarego, bo go ztąd Aryanie usunęli. Z kolei udał się do Mediolanu (we Włoszech), lecz i ztąd przez Aurencyusza, biskupa aryańskiego wydalony, poszedł z drugim kapłanem na odludną wyspę, gdzie się tylko korzonkami karmił. Za powrotem S. Hilarego na biskupstwo, przybył znowu do miasta Piktawu i w jednym z klasztorów przebywał.

Głośne cnoty i pobożność Marcina sprawiły, że go z klasztoru cichego obywatele miasta Tur na biskupa wezwali, i mimowoli jego, prawie przemocą zabrali do siebie, obdarzając go tą wysoką godnością książęcia kościoła. Nie zmienił on przecież i tu swego cichego, pokornego życia; wystawił sobie przy kościele ubogą chatkę i tam przebywał, a późniéj aby jeszcze bardziéj mógł zostać samotnym, wybudował ustronny klasztor, i tam jakby na pustyni często zostawał. Jednak działalność jego jako pasterza duchownego, była niezmordowaną—wybiegał on w różne strony dla nawrócenia pogańskiego ludu, burzył odważnie w imie Chrystusa pogańskie świątynie i bogi, a nawet i cesarzowi Walentynianowi, który pojął za żonę aryankę i radom jéj się poddawał, śmiało to naganiał, a cesarz słów jego słuchał — w ogóle Św. Marcin stanął w rzędzie najdzielniejszych obrońców kościoła.

Był cichym, pokornym, nigdy się gniewał; w ustach jego zawsze brzmiało imię Chrystusa, a w sercu pokój, miłość mieszkały. Ubogim rozdawał wszystkie swe dochody i opiekował się nimi jak ojciec dziećmi; za nieprzyjaciół swoich zawsze się modlił. Razu jednego widząc nędzarza prawie nagiego, zdjął z siebie suknię, a okrył go. Miał przy sobie niejakiego Brykcyusza, którego od młodości wychował i na kapłaństwo wyświęcił. Człowiek ten okazał mu się potém najniewdzięczniejszym, a nawet jawnym nieprzyjacielem.

Św. Marcin nie mścił się jednak na nim, mawiając: Jeżeli Chrystus cierpiał Judasza, czemu ja Brykcyusza cierpieć nie mogę? — wreszcie swą dobrocią i miłością tyle dokazał, iż nieprzyjaciela tego najżyczliwszym dla siebie uczynił.

—

Godzinę swéj śmierci wiedząc, Ś. Marcin kazał siebie na popiele położyć, mówiąc do uczniów, iż najwłaściwsza dla chrześcianina jest śmierć w upokorzeniu; nakoniec z imieniem Chrystusa na ustach Bogu ducha oddał. Widoczna nad nim świeciła i po zgonie łaska Przedwiecznego; twarz jego po śmierci wypogodniała i rozjaśniła się, jako wybrańca, dla którego niebo otworem stanęło.

Jakie życie taka zapłata.

—

I cóż jest życie? — to chwilka marzeń,
Walki, poświęceń, bolesnych wrażeń,
W któréj duch ludzki przędziwo mota
Na wieczystego tkankę żywota;
Łzami użyznia, cierpieniem mnoży
Ziarno cnót, piękna i prawdy Bożéj —
A skoro w bukiet, w ziemskim pochodzie
Rozwił, co w łonie spało w zarodzie,
Dorosł wieczności — cnotą skrzydlaty,
Wolny, radosny, jak wyzwoleniec
Porzuca ciała pielgrzymie szaty.
Wnet duchy bratnie staną wokoło,

Z zasług, poświęceń uplotą wieniec,
A sam Bóg blaskiem otoczy czoło
Zwycięzcy śmierci, Niebios dziedzica.
Tam i cień smutku szczęścia nie płoszy
Nie palą żądze, gdzie Bóg nasyca
Niewyczerpanem źródłem rozkoszy;
Tam zachwyt słodki, święta ochota,
Berłem wszechmiłość, bogactwem cnota,
Sztandarem chwały, krzyż i Golgota.

—

Lecz gdy zapomni człowiek o niebie,
I dary Boże w ziemi zagrzebie,
Albo, co gorzéj, w burzy żywota
Posag Niebieski z szczętem zatraci,
Gdy duch z glinianych piersi wymota
W miejsce poświęceń, wzgardę dla braci,
Nienawiść ludzi, zamiast miłości,
Dumę i pychę, zamiast pokory,
Fałsze bluźniercze, miasto mądrości,
Gdy go zaślepią rozkosz, honory;
Ten duch promienny, to Boże dziecię,
Niewolnik gliny pełza po świecie,
Goniąc za bańką, siły zużywa
I tak dorasta złością do żniwa.
A smutne żniwo, w te sądne gody
Cóż żeńcy Panu za plon przyniosą?...
Nierad duch wynijść z ziemskiéj gospody,
Chciałby w grób zapaść przed śmierci kosą;
Lecz grób dla ciała — duch, dziecię Boże
Choć się zatraci, zamrzeć nie może.
Nie wzleci w niebo, bo tam unoszą
Skrzydła nadziei, miłości wiary,
A on je stracił; bo tam przynoszą
Pielgrzymi życia z lichwą swe dary,
A on je strwonił; bo tam się wchodzi
W tęczowym wianku cnoty, zasługi,
A on go nie splótł przez żywot długi...
Przed Ojcem stanąć mu się nie godzi.
Wielkość, bogactwo, czem tak był dumny,
Wołają pomsty zpod wieka trumny.
Więc pod brzemieniem smutku zapada
W przepaść wieczności, w otchłanie nocy;
Wnet go okala duchów gromada
I z przekleństw ludu, ze łzy sierocéj,
Z żądzy plugawéj, z kolczatych liści
Dumy, pogardy, zemsty, zawiści,
Które jedynie uniósł ze świata,
Sromotny wieniec na czoło splata;
Bo jakie życie, taka zapłata.

Szwedy i Rakoczanie.

Powieść

Z czasów króla Jana Kazimierza.

I.

—

O pół mili od miasteczka Końskich, w powiecie Opoczyńskim leży wieś Modliszewice — przed dwoma wiekami należała ona do starożytnéj familii Odrowążów.

Dziś jeszcze w środku jéj sterczą mury zamku, tu i owdzie rozsypane w gruzy; głębokie fossy, które niegdyś były pełne wody i broniły przystępu do zamku, pozawalane teraz, swobodnie zarastają chwastem i krzakami tarniny, a spętana szkapa włościańska wygryza trawę w tém miejscu, gdzie niegdyś swobodnie pływały karpie i łabędzie. Most niegdyś zwodzony na łańcuchach, dzisiaj ułożony jest z okrąglaków; jednakże wązka kamienna brama z herbami Odrowążów naprzeciw mostu, zachowała się w całéj mocy do dziś dnia, a głębokie lochy pod zamkiem, w znacznéj części pozawalane, mają przechowywać w sobie ogromne skarby. Otoż o téj wsi opowiem wam historyą, o tym zamku i o téj małéj murowanéj kapliczce, co stoi koło drogi na środku sioła.

Panował wówczas w Polsce Jan Kazimierz, syn Zygmunta III, pan dobry, łaskawy, ale cały czas jego królowania był nieprzerwaném pasmem nieszczęść rozmaitego rodzaju.

W Modliszewicach właśnie spotkały się dwa wojska nieprzyjacielskie: Szwedzi i z księciem Rakoczym Węgrzy i Wołoszanie; podali sobie ręce i ułożyli między sobą, jak mają łupić daléj kraj nieszczęśliwy.

O ćwierć mili od Modliszewic, leży wieś Kazanów, z prześlicznym klasztorem Bernardynów, a miejsce to słynęło daleko; liczne kompanie z oddalonych stron kraju przychodziły tam, a z niemi spływały i bogactwa niesłychane tego klasztoru — a ponieważ Bernardyni skromne prowadzili życie, skarbiec więc ich składał się z drogich sprzętów kościelnych, kielichów i monstrancyj wysadzanych brylantami i całych nawet figur lanych ze złota.

Wiedzieli o tym klasztorze szwedzi i Rakoczego żołnierze, i jak jedni tak drudzy ostrzyli sobie zęby na skarby kazanowskie, i jedni dru-

gich starali się ubiedz wcześniéj. Biedni zakonnicy na wieść o zbliżeniu się wojsk nieprzyjacielskich, truchleli, nie o siebię, bo cóż ubogiemu zakonnikowi mógłby zabrać nieprzyjaciel?—życie? toć ono już dawno poświęcone jest Bogu; ale bali się zacni Ojcowie, żeby przybytek Boga nie został zbezczeszczony jakim czynem niegodnym, ażeby ołtarze nie zostały świętokradzką ręką poobdzierane, a skarbiec z drogiemi pamiątkami wydany na łup żołdactwa.

Ojciec Gwardyan January, długo przemyśliwał, jakimby sposobem zabezpieczyć się od tych nieproszonych gości; ale widząc, że środki obrony są niepodobne, bo nie miał, jak w Częstochowie ani armat na swe usługi, ani załogi ku pomocy, postanowił więc cichaczem ukryć wszystko, a nie chcąc narażać którego z braci klasztornych na niebezpieczeństwo, wezwał dziadka kościelnego nazwiskiem Kostan, o którego poczciwości był od dawnych lat przekonany, i rzekł:

— Słuchaj mój stary bracie, nie od dziś to pono z jednego pieca chléb jemy i w jednym klasztorze jednego Boga chwalimy; znam twoję poczciwość i wiem, że mogę na ciebie liczyć w każdém zdarzeniu —zresztą jesteś człowiek biedny i niepozorny, przytém stary i kaleka, nikt nie zwróci na ciebie podejrzenia. Otóż postanowiłem ciebie użyć do schowania naszych skarbów kościelnych. Jak mi wczoraj mówili żydzi z Końskich, co dostarczają ryb klasztorowi, to z dwóch stron dwa wojska nieprzyjazne się zbliżają, i w tych podobno miejscach one się z sobą spotkają. Biada nam, jeżeli zajrzą do naszego klasztoru; postanowiłem więc po długim rozmyśle ciebie użyć do przechowania skarbów, gdzie tylko sam miarkujesz—ażeby jednakże sekret był pewniejszy, nietrzeba, żebym nawet ja, ani żaden ze zgromadzenia wiedział o miejscu schowania. Oddaję ci klucze od skarbu; staraj się jednak, żebyś nie połamał niektórych drobnych wyrobów, gdyż w nich nietylko metal jest drogi, ale i kosztowna robota. To mówiąc Ojciec gwardyan oddał ogromny klucz od skarbca i odszedł.

Stary Kostan nic nie mówiąc, usiadł sobie na kamiennéj ławce pod lipą; tak siedział parę pacierzy nieruchomy—mrok rozpościerał się po ziemi, czas było zadzwonić na *Anioł-Pański.* Podniósł się więc i kiedy zaczął się wdzierać po trzęsących schodach dzwonnicy, coś go z tyłu uchwyciło za kapotę; obejrzał się i zobaczył Jadwinę swoję wnuczkę. Rodzice jéj już oddawna umarli, a on był jéj jedynym opiekunem. Jadwina liczyła już rok 15, a było to dziewczątko jakby krew z mlékiem; długie czarne włosy spadały jéj do samej ziemi, a twarz chociaż opalona od słońca, tak była piękna i modre oczy tak jakoś chwytały za serce każdego, że kto ją tylko zobaczył, stawał się jéj największym przyjacielem.

— Ot uklękłabyś lepiéj i zmówiła *Anioł pański,* jeszcze spadniesz i zęby gdzie wybijesz, mruczał stary, lubując się w duchu widokiem pięknego dziecięcia.

— Ej, co tam dziadulo gada, niech dziadulo sobie usiądzie i odpoczywając, mówi *Anioł Pański*, a ja młodsza, to was wyręczę i dzwoniąc, odmówię pacierze.

— Ale poszłabyś... i chciał stary jeszcze coś mówić, kiedy Jadwina szybka jak jaskółka, przeskoczyła parę schodów, objęła za szyję dziadulka, pocałowała w obydwa policzki i znowu uchwyciła się liny i z całych sił zaczęła dzwonić.

— Starzec się tylko uśmiechał, zwolna pokiwał głową i usiadł na schodach, a wyjąwszy różaniec, zaczął odmawiać modlitwy wieczorne.

Jadwina tymczasem, ciągle dzwoniła, trzy razy przestając, a kiedy już skończyła,

— Ot poszłabyś Jadwino do domu, rzekł stary, przygotowałabyś wieczerzę, a ja jeszcze mam tu po kościele posprzątać.

— To i ja dziadulowi pomogę, a kolacya już i tak gotowa.

— Ale idź mi do domu... ofuknął się starzec; ja sam tu wszystko zrobię.

Jadwina spojrzała tylko zdziwionem okiem na dziadka. Co to jest? pomyślała sobie, że on taki marudny dzisiaj, już ja to muszę wyśledzić; i niby to udając, że wychodzi do domu, obeszła naokoło dzwonnicę, a że zmrok dobry zapadł, nieznacznie stanęła przy jéj węgle. Stary istotnie otworzył małe drzwiczki od zakrystyi i kiedy poszedł do lampy stojącéj przed obrazem Pana Jezusa ukrzyżowanego, Jadwina cichaczem wścisnęła się za nim i przyczaiwszy się za konfessyonałem, widziała, jak stary drzwi ostrożnie nazad na klucz zamknął, następnie wąskim korytarzem udał się do skarbcu na górę, a Jadwina na palcach tuż za nim. Stary wszedł, trzymając lampę w ręku. Byłto pokój dość obszerny, dwa wązkie okienka okratowane przepuszczały w téj chwili promienie księżyca; obejrzał się naokoło,

a widząc tyle rozmaitych rzeczy, stanął, podrapał się w głowę i machnąwszy ręką, rzekł:

— Ot i bięda! — i co tu z tém wszystkiém zrobić? ani mi się w głowie mieści, gdzieby to ukryć; a Ojciec gwardyan jednak zupełnie się na mnie spuścił, i co tu teraz zrobić na to wszystko? — a tu jutro, ba! może jeszcze dziś zawitają szwedy.

I zaczął dużemi krokami stary dziad chodzić po kompacie, a kiedy już upłynęło parę pacierzy, a nic jeszcze nie postanowił, tylko ciągle chodził i powtarzał:

— Ot bieda! i co tu robić? dali-Bóg nie moja już na to głowa.

— Ale moja w tém głową, odezwał się cienki głosik tuż za nim.

— Wszelki duch Pana Boga chwali, zawołał przestraszony starzec, pobożnie się żegnając.

— I ja Go chwalę, odpowiedział ten sam głosik, i to mówiąc, Jadwina wyskoczyła na środek stancyi, ale widząc namarszczone brwi dziadka, stanęła ze spuszczonemi oczami.

— A tu ki licho ciebie przyniosło ty czeczotko? zawołał starzec tupając nogą.

— Ale mój dziadulu, mnie tu Pan Jezus przyprowadził, nie żadne licho — ot kłopoczecie się, gdzieby schować te skarby, a ja wam tu zaraz doradzę, i tak schowamy, że choćby się zwaliły wszystkie szwedy, to ich nie znajdą.

— Ot klepiesz Jadwino sama nie wiesz co; z pustéj stodoły nie wyleci tylko wróbel, albo sowa, a z głupiéj głowy, głupia rada.

— Ale czekajcie-no mój dziadulku! pierwéj wysłuchajcie, co ja wam powiem, a dopiero mi odrzeczecie.

— Cha! mów, kiedy ci tam taka wola, ale ja wiem, że nic z tego nie będzie.

— O! kto wie, mój dziadulku, tylko mnie posłuchajcie — Jabym wam radziła, żebyśmy tego wszystkiego ztąd nie ruszali, ale w jeden kąt pozsuwali, nanosili plew ze stajenki i to przysypali; okna zaś trzeba powybijać, zamek ode drzwi oderwać i udać, jakby tu pustka wierutna była.

— Ot bajesz, i na co się to przyda?

— Ale mój dziadulku, szwedy jeżeli przyjdą, to pewno będą szukać po wszystkich nietylko piwnicach, ale i grobach murowanych, a jeżelibyśmy gdzie zakopali, to także poznają; w takiem zaś miejscu, to się ani domyślą, tylko nam trzeba dużo plew nasypać i dużo narobić rujnacyi.

— Ależ na miłosierdzie Boga, jak można takie skarby zostawiać bez żadnego zamknięcia, z powybijanemi oknami, coby na to powiedział ojciec gwardyan.

— Coby powiedział, toby powiedział, ale szwedy ich tym sposobem nie dostaną.

Stary zafrasował się jakoś na chwilę, nie do smaku mu przypadała ta propozycya, ale żadnym sposobem nie mógł obmyśleć innego schronienia, westchnąwszy więc ciężko, machnął ręką i rzekł:

— Cha! Bóg z tobą dziewczyno, może On mi tu ciebie zesłał na poratunek, to i trzeba nam się zabrać do téj roboty. To mówiąc, zaczął paki ściągać do jednego kąta, a nie było ich tam znowu tak wiele, i stary przy pomocy Jadwiny tak umiał jakoś poustawiać, że rzeczywiście zabrało niewiele miejsca. Stajenka położona o kilkanaście kroków za klasztorem, pełna była plew; kiedy się więc zabrali oboje i obrócili z 6 razy, to 12 worków plew, wysypane na kupę, zupełnie wszystko okryły. A kiedy już robota była skończona, i starzec jakoś uśmiechając się, spoglądał na to, wówczas Jadwina zamyśliła się na chwilę, ale nagle jakby się ze snu zbudziła, klaskając w ręce, zawołała.

— To jeszcze nie tak będzie kochany dziadulku, to jeszcze inaczéj trzeba zrobić.

— No i cóż ci tam nowego przyszło do głowy? rzekł, głaszcząc ją po rumianéj twarzyczce starzec.

— Widział dziadulek, jaki to tam jest na stajni kożub, z porośnięcia owsa i innych posładów, jakby murawa; trzeba nam ten kożub ostrożnie ztamtąd pozdejmować, i jeszcze na téj kupie poukładać, a nikt się pewno nie domyśli, że tam, gdzie rośnie murawa, przed parą godzinami było czysto.

— To to główka, mruczał starzec, kiwając głową, i uśmiechając się dobrodusznie, zkąd w tobie taki rozum?

Ale Jadwina cała zajęta wykonaniem swego zamiaru, już była na schodach i wkrótce wróciła nazad, dźwigając na plecach zwinięty w wałek kożub lekkiéj murawy, i kiedy go rozciągnęła na kupie plew przykrywającéj skarby, to tak jakoś do niéj przystał, jak gdyby rzeczywiście

tam wyrosł. Podobała się snać staremu ta robota Jadwiny, bo rzekł:

— No no, pójdźmy dziewczyno, przynieśmy jeszcze więcéj tego kożubu i okryjmy nim skarby— i rzeczywiście w parę godzin cała kupa zieleniła się najpiękniejszą murawą, jak gdyby tam wyrosła. Jadwina nie czekając już daléj zezwolenia starca, wybiła w jednem oknie prawie wszystkie szyby, drugiego jednę połowę oberwała, i tak przechylone zostawiła na jednéj zawiasie, a kiedy już to wszystko ukończyła, rzekła:

— No, teraz niech dziadulko weźmie siekiery, i ten zamek ode drzwi oderwie; nie zawadzi rozwalić kawałek muru z pieca. i tak to wszystko zostawić. Starzec nic nie mówiąc, był posłuszny radom swojéj wnuczki.

Nareszcie i słońce zaczęło różowo wschodzić na niebie, na stawie słychać było trzepotanie się wodnego ptastwa.

— No, teraz moja dziewczyno, trzeba podziękować Najwyższemu, i prosić Gó o łaskę zachowania tajemnicy — i to mówiąc starzec, otworzył drzwi od zakrystyi do kościoła, i padłszy na kolana z Jadwiną, przed ukrzyżowanym Zbawicielem, modlił się długo, a dziewczyna, która na oko była tak wesoła i roztrzepana, równie szczerze się modliła, i kiedy powstała, to piękne jéj modre oczęta były pełne łez, a twarzyczka zarumieniona od płaczu.

Czas już było na jutrznią, zakonnicy zaczęli się schodzić do chóru na pacierze poranne. Starzec z wnuczką wychodził właśnie z kościoła, kiedy na drodze od Końskich, zobaczył oddział konnych żołnierzy, w całym pędzie zbliżających się ku klasztorowi—podniósł dłoń do oczu, ażeby zobaczyć, czy to swoi, czy obcy, ale zaczem mógł rozpoznać barwy ich mundurów, już podworze klasztorne zatętniło kopytami i cały oddział Wołochów księcia Rakoczego wpadł tłumnie w bramę.

(Dalszy ciąg nastąpi).

O drzewach w lasach naszych rosnących.

(Ciąg dalszy, patrz nr. Cz. 42).

—

Olsza (Alnus). Z tego rodzaju dwa u nas są gatunki: *olsza zwyczajna* (A. glutinosa) ma drzewo czerwone, rośnie nad wodami; druga *olsza biała* (A. incana) ma drzewo białe; jest mniéj pospolita od pierwszéj, przytrafia się w nizinach na gruncie suchym.

Olsza zwyczajna dorasta 70 stóp wysoko i trwa do lat 80. Przestarzała na pniu, wewnątrz od spodu pruchnieje.

Kora olszy jest czarniawa, drobno popękana, drzewo stosownie do gatunku, czerwonawe lub białe, miękkie, rzadkie, lekkie i łupne. Najtrwalsze jest do budowy pod wodą, na rury podziemne; do budowy suchéj się nie używa, bo prędko butwieje i owady je niszczą. Przydatne jest do robot stolarskich, bo się gładko wyrabia, miewa czasem piękny flader, a na czarno zaprawione tak jest ozdobne, że heban zastępuje. Wyborne jest na drobne wyroby, jakoto: łopaty do rydlów, tacki, niecki, szufle, tablice, kopyta szewckie, i t. d. Na opał olszyna jest dobra, ale mniejszą ma wartość od brzozy; zato drzewo olszowe w wiórach jest najlepsze do wędzenia mięsa, oraz suszenia słodów. Węgle są dobre do samowarów, na gotowanie wody do herbaty. Kora olszowa przydatna jest do garbowania skór i na farbę czarną. W okolicach, gdzie jest brak opału i na takowy używają słomy, pożyteczniéj będzie zaprowadzić plantacye olszyny, która w 4 lub 5 lat daje wyborne paliwo. Nad rzekami, po kępach wodą zalewanych, gdzie nic innego rość nie może, zasadzona z drobnych latorośli olszyna, w 3 lata daje dobry opał i co 3 lata wycinana, sama potém z korzenia odrasta, nie potrzebując nowéj uprawy.

Pan Maciéj z Jędrychowa

drelicharz jarmarkowy.

—

Pod tym tytułem wyszła książka w Warszawie u Glücksberga w drugiém wydaniu r. 1822.

Ponieważ nie każdy z was czytelnicy! mieć może tę książkę w ręku, a zawiera ona w sobie wiele rad pożytecznych, opiszę wam przeto w krótkości historyą Macieja drelicharza, odsyłając po szczegóły do saméj książki.

Maciej pochodził z ubogich rodziców; ojciec z początku oddał go na naukę do proboszcza i uczył się tu ciekawy chłopiec przez lat kilka, ale nie czując w sobie powołania do stanu duchownego, wziął się do tego rzemiosła, którem się

ojciec trudnił, t. j. do drelicharstwa. Jeździł po jarmarkach lat 40, i choć się na tem nie zbogacił, nabył jednak wiele doświadczenia, które jest droższem od złota. Niewiele miał ze swego handelku, ale to mu wystarczało na wyżywienie dość licznéj rodziny; bo ten tylko, jak mawiał, jest ubogi, kto więcéj żąda, jak mieć może.

Ta ciągła praca, z ruchem połączona, dawała mu zdrowie, a Maciéj choć trochę podłysiał i poszpakowaciał, twarz miał zawsze wesołą i swobodną, pełną życia i przyjemności.

Spotykamy naprzód Macieja na jarmarku w Staszowie. Na samym początku sprzedawał on swój towar, bo znanym był z rzetelności pomiędzy ludźmi, a gdy się inni użalali przed nim na ciężkie czasy, ej! moi ludzie, odpowiedział, bieda, bieda, ale jéj nie widać z tych zbytków, kto re tu robicie. Ten np. kupuje żonie pierścionki i różne błyszczydła, a jak przyjdzie zima, to mu braknie na kożuch; tamten gra w kupki, gdzie go spekulanci kartowi oszukują, traci swą własność, potem pożyczać, a w końcu i kraść może.

Zganiwszy następnie znajomym zasięganie wróżby od cyganek, a kupowanie recept i lekarstw od wędrownych spekulantów, pan Maciéj ze Staszowa ruszył gościńcem do Opatowa. Na drodze spotkał woźnicę, który wyładowawszy ogromny pakunek na jednego konia, gdy ten mu podołać nie mógł, nielitościwie zaczął smagać to szlachetne i nieszczęśliwe bydlę. Maciéj pomógł mu jako bliźniemu w biedzie i konieczności, ale niedarmo; dał mu za to surową naukę, iż człowiek, któremu nieprzykro patrzeć na męczarnie bydlęcia, nie może być czułym i na cierpienia ludzi.

Na noc stanął w jednéj wiosce, gdzie w miejscowéj karczmie odbywała się niedzielna zabawa ludu. Przejeżdżał on tędy corok, dlatego był znajomym okolicznym ludziom, którzy go teraz przyjęli uczciwie i z otwartemi rękoma. Ale ujrzawszy między nimi jednego człowieka, który od zbytniego użycia trunku, leżał bez duszy, opowiedział Maciéj gromadzie smutną historyą o Janku, co przez pijaństwo i złe życie, jakie się z niego rodzi, dostał się wkońcu do więzienia.

Potem p. Maciéj miał interes do Lubartowa w Lubelskie — w podróży stanął w bliskiéj karczemce pod Lublinem, do któréj przed nim przybyło wielu podróżnych. Pomiędzy nimi spotkał dwóch, którzy się z sobą kłócili o kawał gruntu. Maciéj wdał się pomiędzy zwaśnionych, i tak ich przekonał, że sobie zgodnie podali ręce; bo *milsza słomiana zgoda*, mówił im, niźli *złoty proces*; pozywając o cielę, trzeba zjeść wołu, a po skończonéj sprawie jedna strona wraca nago, a druga w koszuli tylko—proces, to bezdenna studnia, co w nią wleci, już tego nie dobędziesz.

I znowu poszedł daléj nasz Maciéj, i trafił na młodego żebraka. Dowiedział się od niego, iż ojciec jego był szewcem w Kozienicach, i oddał go do swego rzemiosła, ale się młodemu ten stan nie podobał; popróbował i handlu, ale i to mu nie w smak poszło, rzucił więc domowe strony, powędrował do Warszawy, stracił co miał, pracy nie lubił, i wyszedł na proszaninę.

Pan Maciéj wysłuchawszy wszystkiego, dał mu przestrogę, iż żadne rzemiosło człowieka nie hańbi, gdy się w niem człowiek uczciwie sprawuje, potem poprowadził do Lubartowa, i umieścił go u jednego ze swych znajomych.

Pożyteczną będzie opisać wam rozmowę, jaką nasz wędrowiec miał w drodze z gospodarzem.

Maciéj. Cóż to robicie koło roli mój gospodarzu, jakże tam tego roku z urodzajami?

Gospodarz. Aj! źle, źle, grad wybił wszystko; jeżeli się jeszcze raz to powtórzy, to przyjdzie z dziećmi umrzeć nam z głodu.

Maciéj. Kogo Pan Bóg stworzy, tego nie umorzy — człowiek poczciwy i pracowity nie umrze nigdy z głodu. Bieda goni, gdy człowiek drży pszed nią z założonemi rękoma; ale ucieka, kiedy ją pracą zażegna.

Gospodarz. Cierpiałem długo, ale już teraz to i sił nie staje.

Maciéj. Bo nie umiesz cierpieć po chrześcijańsku; wierzaj mi, tylko pracuj i czekaj cierpliwie, a Opatrzność ci dopomoże. A teraz zostaj mi z Bogiem.

Gospodarz. Szczęśliwéj drogi!

Poszedł Maciéj daléj, zatrzymał się aż w jednéj wiosce, gdzie miał najwięcéj znajomych. Obstąpili go naokoło, a on po przywitaniach wzajemnych, opowiedział im historyjkę o Marysi Kowalczance i Joasi Miłkównie, dwóch dziewczętach z tejże wioski wyszłych do Warszawy: jak to pierwsza z nich poczciwa i pracowita, lubo mniéj piękna, wyszła przez tó na dobrą kucharkę i szanowną kobietę; a druga piękna, ale leniwa, próżna, zalotna, nielubiąca pracy, przez te nieszczęsne wady doszła w końcu do szpitala. Obszernie tę historyą, jaką teraz Maciéj opowiadał, opisaliśmy wam poprzednio.

Pod Żelechowem z okoliczności napotkanego dziecka, zeszpeconego przez ospę, nasz Maciéj, jako bywalec, co nie z jednego pieca chléb jadał, radził rodzicom, aby ospę szczepić kazali dzieciom. Opowiedział im zarazem, skąd to się wzięła ta sztuka na świecie: że żył w Szkocyi, kraju należącym dziś do Anglii doktor, nazwiskiem *Jenner*; zauważył on, iż chłopcy paszący bydło dostawali krost podobnych tym, jakie krowy miewają na wymionach. Wpadł więc na myśl, że to się musi od krów udzielać. Właśnie w tym samym czasie francuz nazwiskiem *Rabot* spostrzegł podobne zjawisko, więc się z sobą piśmiennie znieśli, i ospę krowią szczepić radzili.

Dobra dola nie przychodzi sama, trzeba za nią gonić, a bieda nieproszona wciska się do domów i rodzin naszych—i tym argumentem Maciéj drelicharz przekonywał ludzi o użyteczności i konieczności szczepienia ospy.

Wstąpił też po drodze do dawnego swego znajomego Franciszka, którego w potrzebie nieraz wspierał, a dzisiaj go widział wśród rodziny, osiadłego, zasobnego i szczęśliwego, a to wszystko, jak mawiał Franciszek, winien był pomocy i dobrym radom doświadczonego Macieja. W podróży swojéj napotyka Maciéj ciągle znajomych i obcych, i daje im różne przestrogi o pracy, ochędostwie, uprawie ziemi i t. p.

A słuchali go wszyscy, bo był to głos doświadczenia i życzliwości. Nareszcie nasz drelicharz zajechał z swym towarem do jednego dworu niedaleko Łukowa.

W oficynie słyszał on rozmowę garderobiany z kamerdynerem o ich państwie, które wyśmiewali bez litości. Zganił im obmowę, i rozpowiedział im z téj okoliczności historyą o wiernéj i przywiązanéj służebnicy Małgorzacie, która przez te cnoty zyskała sobie miłość i przytułek u swego państwa na stare lata.

W Łukowie Maciéj słysząc w gospodzie ludzi nielitościwie obmawiających, opowiada im historyą o panu Jacku Szymańskim: że żył gdzieś tego nazwiska bardzo uczciwy człowiek: gdy tylko usłyszał obmowę ludzką, zaraz spuszczał oczy, nic nie mówił, i udawał, że zasypia. Trafiło się, że razu jego w podobym wypadku na prawdę zasnął. Stąd powstało przysłowie w okolicy całéj, kiedy słyszano jakiego obmówcę: *Tuby zaraz zasnął pan Jacek.*

Otóż teraz pan Maciéj skończywszy tę historyą, zamilkł i ułożył się jak ów Jacek Szymański; poznali to słuchacze, i zawstydzeni obmowy zaprzestali.

Jakiś Michałek, dawniéj chłopiec warsztatowy spotkał się z Maciejem w Stanisławowie—przeszedł on Galicyą, był tam w Tarnowie, Przemyślu. Lwowie, nauczył się ślusarki i teraz jako czeladnik wędrował po kraju, bo takie obtarcie się między ludźmi to otwiera oczy człowiekowi. Równie z zajęciem w książce, którą wam opisujem, czytać będziecie historyą o żołnierzu Bartoszu, nauczające rady Macieja o zazdrości, gniewie, nieszanowaniu pamięci umarłych, łakomstwie, wojaczce, słuchaniu nabożeństwa i t. p.

Historyą zaś o dwóch braciach i Włodarczyku, o strachach opowiedzieliśmy wam już dawniéj.

Wogóle książka, którąśmy wam opisali i dali małe z niéj wyjątki, zawiera wiele pożytecznych rad i przestróg doświadczonego człowieka; zalecamy wiąc ją do czytania każdemu, kto ją miéć może.

Przypowieści.

1. Mistrza dobrego z małéj sztuki poznać.
2. Młodym będąc, pamiętaj że starym będziesz.
3. Płaki w polu, a on rożenki na nie struże.
4. Nie zawsze uderzy, gdzie kto mierzy.
5. Nie każdy wesół, co śpiewa.
6. Nie miejsce człowieka, ale człowiek miejsce zdobić ma.
7. Nienawiść znajdzie winę, i do krzywdy przyczynę.
8. Nie patrz na postawę, lecz na człeka sprawę.
9. Nie patrz kto mówi, ale co i jak mówi.
10. Nie pomoże krukowi mydło.
11. Nie rzucaj kości między psy.
12. Słowo, szkody nie nagrodzi.
13. Rolę korcem mierz, nie sznurem, ani stajem.
14. Maszli co czynić, uczyń dobrze, maszli co dać, daj szczodrze.

W druk. J. Ungra—Wolno drukować. Warszawa d. 21 paźdz. (2 listop.) 1857 r. — Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*